

## Samotność

W pierwszym dniu rozlokowuję się w nowym miejscu, ale wciąż nie dociera do mnie, że czas się właśnie zatrzymał. Nie mam *nic* do zrobienia. Nie mam tu e-maili do sprawdzania, telefonów do wykonania, artykułów do zredagowania, spotkań do umówienia, narad do przygotowania... Nic. Trudno mi jeszcze w to uwierzyć. Wstrząs okazuje się zbyt silny, więc wynajduję sobie różne drobne ulepszenia mojego nowego lokum, byle się czymś zająć. I tak mija pierwszy dzień: gorący, przyjemny, nierealny.

Gdy noc spowija chatkę całkowicie, owady, żaby i inne niewidzialne zwierzęta zaczynają chóralne śpiewanie, równie urozmaicone, co hałaśliwe. To one od tej pory będą kołysać mnie do snu. Te wszystkie poświstywania, szelesty, brzęczenia i kłaskania lasu ustają dopiero z nadejściem dnia. Wiele owadów, zwabionych światłem lampy zawieszanej nad stołem, przywarło już od zewnątrz do moskitierki. Snop światła rzucany przez lampę pozostawia część pomieszczenia w ciemnościach. Zapisuję kilka linii w moim niebieskim zeszyte, relacjonując szczegóły nowego gospodarstwa. Czas będzie się dłużył.

Przywiozłem ze sobą tylko jedną książkę – *Wojnę i pokój*. Rosja Tołstoja w dżungli amazońskiej. Specjalnie

zabrałem nowe wydanie kieszonkowe, a nie tomy, które już przeczytałem i w których porobiłem notatki. Tym sposobem będę mógł spalić książkę, gdyby jej czytanie stało na przeszkodzie introspekcji, której zamierzałem dokonać. Bo w tym osamotnieniu lektura może się okazać ostatnim środkiem ucieczki przed konfrontacją z samym sobą. Wówczas zniszczę książkę, aby oddać się całkowicie bogactwu nudy.

Dlaczego *Wojna i pokój*? Otóż, po pierwsze, dlatego, że jest to arcydzieło. Oprócz tego, z bardziej prozaicznych względów, wystarczy mi na cały pobyt, nawet gdybym się miał nie ograniczać. A w końcu też dlatego, że poprzez ten tekst czuję łączność z moim ojcem. Moim zmarłym ojcem, którego mi brakuje, a który czytał tę książkę chyba ze czterdzieści razy.

Gaszę światło i natychmiast zapada czarna noc. Podczas gdy moje oczy przyzwyczajają się powoli do ciemności, niewyraźne kształty roślinne zaczynają się wyłaniać zza moskitiery. Jestem zmęczony podróżą, a mój umysł błądzi między jawą a snem, kołysany odgłosami przyrody. Szybko układam się na tym jedynym w swoim rodzaju łóżku. Jest parno, więc tylko trochę przykrywam się lekkim prześcieradłem i zasypiam natychmiast.

Jestem na nogach o świcie, w bladym świetle wschodzącego dnia. Podczas śniadania, złożonego z miski płatków zbożowych i mleka sojowego, odwiedza mnie niewielka modliszka. Gorąca wilgoć nocy rozptywa się mglistymi smużkami ponad koronami drzew, w miarę jak słońce wschodzi coraz wyżej. Kawa rozpuszczona w kubku zimnej wody uzupełnia śniadanie. Jakie szczęście. Kręci mi się w głowie, jak pomyślę, gdzie jestem.

Jedyną rzeczą, jaką chcę robić regularnie i konsekwentnie, jest program pracy z ciałem i energią, który zacząłem jeszcze w Paryżu, pod okiem Serge'a Augiera. Chodzi o ćwiczenia sztuki walki polegające na powolnych ruchach i tym samym nakłanianiu ciała do pracy na głębokich poziomach, co jest wstępem do trudniejszej praktyki. Te ćwiczenia fizyczne będą mi towarzyszyły w drodze duchowej. Bo jakże uspokoić i badać umysł bez oczyszczenia i wzmocnienia ciała, które jest jego odbiciem?

Odziany jedynie w przepaskę na biodrach, zaczynam pierwsze ćwiczenie polegające na pracy nad równowagą i ze środkiem ciężkości. Stojąc boso na podłodze z desek, z rękami wzdłuż tułowia, przenoszę ciężar ciała naprzemiennie z pięt na przód stóp. W powolnym kołysaniu, jakie tym sposobem powstaje, koncentruję się na swojej osi. To rodzaj medytacji ciała. Wzrok kieruję na zewnątrz chatki, na pień rosnącego przede mną majestatycznie drzewa. Obsesyjne myśli przychodzą i odchodzą. Nie udaje mi się osiągnąć spokoju umysłu. Jest we mnie za dużo energii, przejawia się ona w pobudzeniu umysłowym, wywołując coś w rodzaju permanentnego rozdrażnienia. Ciągle wolno oddychając, skupiam się na łagodności. Mój umysł jest jeszcze zbyt poruszony, co odbija się również w ciele. Czuję się gruby. A raczej ciężki, bo obiektywnie nie jestem gruby. Wkurza mnie mój brzuch, zawadza mi. Jeśli brzuch jest drugim mózgiem, to naprawdę się zastanawiam, *czego mój nie przetrawił*. Muszę zdjąć ten ciężar. Wykonując ćwiczenia, zauważam, że nie umiem oddychać. Wdycham powietrze gwałtownie, zrywami, jak ryba wyciągnięta z wody. Nieustannie szukam powietrza. To najpewniej z powodu tej ciężkości w brzuchu. Ale przecież oddycham tak od dzieciństwa. Dzieciństwa zapomnianego.

Mija ranek, a ja pocę się, świadomy całego oceanu skurczów i napięć szamoczących się we mnie.

Muszę zaufać ciału.

Celem tej podróży jest to, abym nauczył się odpuszczać. Aby udało mi się zatrzymać ten kołowrotek myśli, tę maszynę, która wszystko chce kontrolować, wywołując poczucie winy na samą myśl, że nie robi się czegoś, jak należy. „Pokaż mi. Ufam ci, naucz mnie łagodności”.

Nagle czuję, że ktoś mnie obserwuje. Odwracam się natychmiast, pewny, że kogoś zobaczę, ale nie ma nikogo. Jest tylko ściana lasu. A jednak mam wrażenie, że coś tu było. Pozostało niewidzialne, aby mnie nie wystraszyć? Dziwne uczucie.

Wracam do ćwiczeń, spokojniejszy, ale wciąż myśląc w kółko: chciałbym się odnaleźć, dowiedzieć, kim naprawdę jestem...

Czuję, że doszedłem do końca pracy podjętej po odejściu brata i ojca. Przez dziesięć lat żyłem badaniami nad śmiercią, które prawdziwie mną wstrząsnęły, zmieniły mnie, ale i głęboko ukoiliły. Lecz dziś nie chcę już spotykać umarłych. Chcę życia, nie śmierci. To życie jest ważne. Doświadczać życia, nie oczekując niczego szczególnego.

Mija ranek i robi się coraz goręcej. Z rozpalonymi udami i obolałymi ramionami postanawiam zejść ścieżką do rzeki. Miejsce jest puste i majestatyczne. Wchodzę do niezbyt głębokiej wody, uważając, żeby nie stracić równowagi na oślizgłych kamieniach. Posuwam się w stronę, gdzie woda jest trochę głębsza. Rzeka wije się pośród bujnej, tropikalnej roślinności, a ja, jak we śnie, unoszę się z rozkoszą. Przytrzymuję się, aby mnie prąd nie zniósł, i zanurzam po czubek głowy. Chłód wody pieści

moje ciało, rozluźniając mięśnie, obmywając je zmysłowo ze wszelkich skurczów i napięć. Czuję, jak nurt wody głaszcze mi powieki, kark i plecy, pełza po nogach. Nade mną w powietrzu krążą orły.

Wdrapuję się z powrotem do chatki. Kucharka z ośrodka zostawiła mi dyskretnie posiłek złożony z kawałka grillowanej ryby, purée, pokrojonych pomidorów, tartej marchwi i plasterów ogórka. Patrząc na ten talerz na stole i czując, jak wzbiera we mnie niepokój: czy mi to wystarczy? Talerz jest pełny, spokojnie mi tego pożywienia wystarczy, skąd więc ta potrzeba, żeby mieć więcej? Jakby coś we mnie było głodne. Lęk przed brakiem, potrzeba kompensacji, której nie zaspokoii pożywienie. Jestem zaskoczony intensywnością swojej obawy. We Francji każdego dnia przekąszałem a to kawałek czekolady, a to jakiś inny smakołyk. Słodyczne, a zwłaszcza czekolada, koiliy we mnie tę tajemniczą pustkę. Wiadomo, ma to związek z moimi emocjami. Ale fakt, że to wiem, niczego nie zmienia. Znalezienie się w sytuacji, w której nic nie będzie mogło zaspokoiić tej kompulsywnej potrzeby, wywołuje u mnie wiele razy w ciągu dnia ataki mikropaniki. Oto nowe odkrycie, widoczne z pełną ostrością. Czeka mnie mnóstwo roboty!

Po południu zaczyna padać. Ciepła ulewa zapowiada porę deszczową, która w tym regionie zagości za kilka tygodni. Bez wahania wychodzę na deszcz z twarzą zwróconą ku niebu i z rozpostartymi rękami. Grube krople chłostają mi twarz i barki. Jak woda strumienia wyznaczają granice mojego ciała, pozwalają mi poczuć jego kontury, zwiększają moją jego percepcję i w pewien sposób sprowadzają mnie do tej biologicznej materii, z której jestem zrobiony. Deszcz, spływając po skórze, tej błonie organizmu, pozwala

mi odczuć jedność ciała. To już nie umysł, który myśli swoje, nogi, które robią swoje, i jeszcze ręka, która jednocześnie coś pisze. Moje ciało na nowo staje się skończoną całością pod wpływem kontaktu z wodą deszczu i strumienia. Masuję barki, ramiona, brzuch, uda, wyczuwam pod rękami siłę swoich mięśni i ciepło skóry. Czuję w sobie życie, organiczne, zwierzęce.

Gdy kończy się ulewa, wystawiam się na słońce, aby wyschnąć, a potem wracam do chatki i kładę się w hamaku zawieszonym między dwoma słupami. Bujam w obłokach w stanie odprężenia. Moje myśli są spokojniejsze niż przed południem. Chwytam *Wojnę i pokój* i czytam kilka stron, które natychmiast przenoszą mnie w czasie i przestrzeni. W ułamku sekundy znajduję się przy ojcu. Jestem w pierwszej części powieści, kiedy Piotr, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zostaje wyznaczony przez swego umierającego ojca na jedynego dziedzica tytułu i kolosalnej fortuny Bezuchowów. Zmrok zapada szybko. A potem nastaje noc ze swymi dzikimi wokalizami. I sen, który powala mnie bez zapowiedzi.

Nowy świt, podobny do wczorajszego, niesie szczęście i pewność szykującego się spotkania. Spotkania z moim ciałem, najpierw w czasie porannych ćwiczeń, potem podczas długich spacerów w rzece, co uaktywnia i zmienia mój obieg energii. Zauważam to już tego drugiego ranka, jest to bardzo subtelne odczucie, ale z każdym dniem będzie stawać się silniejsze. Czuję, że wzrasta moja witalność. Moje pragnienia również. Wyczuwam niejasno, że ta narastająca energia stanie się motorem ważnego doświadczenia, którego natury nie potrafię na razie odgadnąć. Poprzez te odczucia energetyczne odnoszę wrażenie, że zachodzi coś

głębszego, coś, co ma związek z moimi ogólnymi zdolnościami do czucia i *widzenia*.

W miarę upływu dni coraz wyraźniejsze się staje, że spokój, który odnajduje mój umysł, totalne odizolowanie w połączeniu z systematycznymi ćwiczeniami fizycznymi są w trakcie kanalizowania tego, co do tej pory było we mnie zupełnie rozproszone. Dzieje się! Uwielbiam to.

Popołudniami na przemian medytuję, spaceruję wzdłuż rzeki i oddaję się marzeniom. Również dużo piszę, jak podczas każdej samotnej wyprawy od trzydziestu lat, ale jeszcze więcej teraz: w czasie tej podróży w bezruchu. Mój dziennik staje się moim alter ego, z którym prowadzę dialog. Powierzam mu swoje wątpliwości i pytania. Domyślałam się, że jedną z najważniejszych rzeczy do wprowadzenia w życie będzie przestać chcieć wszystko analizować.

Pewnego ranka, kiedy jestem pogrążony w stanie kontemplacji, w ciszy i w bezruchu, nie oczekując niczego szczególnego, uświadamiam sobie, że mój umysł na kilka sekund zaprzestał myślenia. W tym momencie wydało mi się, że postrzegam otoczenie z większą ostrością. Że doświadczam czegoś w rodzaju czystej percepcji natury rzeczy. Na mgnienie oka. Zbyt ulotne, aby zostawić choćby *wspomnienie*. Bo jak tylko *doszedłem do siebie*, mój mózg zaczął pracę na najwyższych obrotach, analityczny umysł zaś odciął mnie od tego sensorycznego doświadczenia. Niemniej przez chwilę *poczułem coś nowego*. Pod nieobecność myśli uchyliły się jakieś drzwi.

Mechanizmy funkcjonowania mojego umysłu stają się coraz wyraźniejsze. Stopniowo dociera do mnie, że być może w czasie tej podróży nie pojawi się nic do zrozumienia ani cel do osiągnięcia, że nie powinienem oczekiwać żadnego objawienia. Mam tylko żyć i być w pełni obecnym

w doświadczaniu terażniejszości, bez rozumowego dociekania. To prawdziwe wyzwanie dla kogoś takiego jak ja, co główkuje bez przerwy. Widzę teraz, że w moim życiu we Francji wszystko musiało mieć cel lub powód. Pójść tu i tam, zrobić to i tamto i tak dalej. Ani na chwilę nie byłem wolny, ani na moment mój umysł się nie zatrzymywał. I dziwić się, że odciąłem się od swoich doznań? Tylko kiedy w ciągu dnia miałbym być dostępny dla tych zjawisk tak subtelnych, tak kruchych, skoro byłem w kółko zabiegany? Jak się otworzyć na *nieoczekiwane* w tym zagonieniu? Fakt, wystarczyłoby, żebym sobie darował regularnie choćby chwilę. Piętnaście minut beczynności każdego dnia przyniosłoby nieocenione korzyści. Znajdujemy przecież czas dla tylu niepotrzebnych rzeczy. Muszę sobie narzucić po powrocie te chwile medytacji. Rozwiązanie istnieje, jest gdzieś w moim wnętrzu.

Kluczem jest dyscyplina.

Podążać „ścieżką wojownika” w rozumieniu tybetańskiego mistrza Chögyama Trungpy. Narzucić sobie z determinacją możliwość świadomej i rzetelnej konfrontacji z samym sobą. To pojawia się w czasie wglądu wywołanego regularnym nicnierobieniem. Lecz spotkanie oko w oko może być nieprzyjemne. Czy pragniemy poznać samych siebie *naprawdę*? Zdaję sobie mgliście sprawę, że to moje ciągłe zabieganie i mentalna potrzeba interpretowania wszystkiego skrywają strach – strach przed nieznanym, które pojawiłoby się, gdybym tylko pozwolił swoim doznaniom otworzyć się w pełni. Czego lub kogo się boję? Dokąd zabierze mnie ta energia, która we mnie buzuje? Z czym są związane te popędy, pragnienia, te czasem gwałtowne emocje? Wobec tych niezliczonych pytań zaczynam dostrzegać konieczność codziennej praktyki tych chwil dla



samego siebie po powrocie. Podążać ścieżką wojownika z ufnością, życzliwością, determinacją, radością, przenikliwością, odwagą i współczuciem.

O zmierzchu pod koniec medytacji rzucam okiem na swój brzuch i widzę ocean czerni, niczym smoła. I smutek. Czyżby moja energia i wewnętrzne zranienia stawały się widzialne?

Nabrałem nawyku brodzenia w rzece kilka razy dziennie. Stąpając po kamieniach, uważając, żeby nie stanąć na wężu – bo już napotkałem dwa osobniki wygrzewające się na skałach – smakuję rozkosz odosobnienia. Woda jest przejrzysta, przyjemna, za każdym razem nurkuję w niej z błogością. Nad tą częścią doliny stale szybują orły unoszone ciepłymi prądami powietrza.

Pewnego dnia, leżąc na plecach na wodzie, podążam wzrokiem za jednym z tych władców nieba. Gdy widzę go dokładnie pod słońce, mrużę oczy i pozwalam się nieść powoli nurtowi, zawieszony niczym zjawa na powierzchni wody. Po pewnym czasie wstaję i ociekając wodą, wspinam się na rozgrzany głaz, aby na nim wyschnąć. Siedząc po turecku, wystawiony do słońca, spowalням oddech i zamykam oczy. Ledwie rozpraszany letnią bryzą i odgłosem wody, daję się przeniknąć majestatowi tej chwili. I staje się coś nieoczekiwane: siedzę nieruchomo na kamieniu, ale już nie sam. Jakiś *Indianin jest ze mną*. Nie obok mnie ale, jak to powiedzieć... *We mnie*. To doznanie jest bardzo wyraźne, to nie wytwór mojej wyobraźni. Niesamowite! Jakbym wyczuwał *dawnego* tubylca. Otwieram powieki, niczego nie widzę, ale wiem, że moje oczy mogą zobaczyć

tylko niewielki fragment rzeczywistości, więc nie jestem tym zdziwiony i skupiam się na samym doznaniu. Czuję jeszcze obecność tego Indianina, jest ona bardzo realna, dlatego staram się nie poruszyć, aby delektować się chwilą. Jednego jestem pewien: ani na moment nie jestem sam. Jest tu ten tubylec w czasie poza czasem, w miejscu, gdzie jestem, ja – cudzoziemiec, który kolejny dzień otwiera powoli drzwi do niewidzialnych światów. Na kilka sekund nasze rzeczywistości się na siebie nałożyły. Przez kilka sekund Indianin był gęstszy od ducha.

Z pewnością potrzebowałem tego przypomnienia, że świat niewidzialny jest stale dostępny, obecny wokół nas, gdziekolwiek jesteśmy. Nie trzeba jechać daleko, aby to odkryć. Drzwi do tego świata są w nas, nigdy nie były gdzie indziej.

Wdrapuję się do mojej chatki, jednocześnie mocno poruszony, ale i radosny. Czuję się silny. Cóż za niezwykłe doświadczenie! Śpieszę je przelać na papier dziennika. Od wschodu, z pomrukami burzy, nadciągają chmury. Ściemnia się. Jem kolację złożoną z czegoś w rodzaju placka z soczewicy z awokado, ryżem i jarzynami. To już ponad tydzień, jak żyję niczym pustelnik w tej chatce pośrodku puszczy amazońskiej.

To stanie się jutro.

## Spotkanie

Słońce jest już wysoko, gdy zaczyna się to szczególne doświadczenie. Na przejrzystym niebie orły jak zwykle tańczą nad moją głową. Kończę serię ćwiczeń fizycznych, zanim zrobi się zbyt gorąco. Czuję się świetnie, odnajduję swoje ciało, czuję pracę mięśni, krążącą energię. Mój umysł się uspokaja. I nagle intuicja każe mi się zatrzymać, znieruchomieć i wsłuchać się w doznania. Kładę się więc na łóżku, zamykam oczy. Nie wiem, dlaczego to robię, oddaję się marzeniom. Leżę z zamkniętymi oczami, mój umysł zaczyna błędzić. Początkowo nie wiem, co robić, ale po chwili zaczynam sobie wyobrażać, że jestem latającym orłem. Nagle wracam myślą do brata, Thomasa, i do ojca. Stoją naprzeciwko mnie na znanej mi drodze. Thomas ręką pokazuje mi przestrzeń przed nami. Nie rozumiem. Czy to jakieś przesłanie? Co takiego chce mi pokazać? Stopniowo wzbijam się ponownie do lotu. Wizualizuję sobie w myślach dolinę, gdzie się znajduję, jakbym był ptakiem, jednym z orłów, które zapewne w tym momencie rzeczywiście krążą nade mną. Widzę z góry swoją chatkę, potem szybuję w stronę rzeki, jakby mój duch przelatywał nad nią na sporej wysokości. W tym momencie jestem doskonale świadomy, że to ja tworzę tę wizję. Lecz nagle dzieje

się coś zaskakującego. Nachodzi mnie, z pełną ostrością, wizja, której nie wyreżyserowałem: lecę wciąż ponad rzeką, ale tym razem dostrzegam zbliżających się ludzi. Ludzi brodzących w rzece. Z tej wysokości to zaledwie czarne punkciki. Czy to Indianie zamieszkujący dawniej tę dżunglę? Konkwistadorzy? Podlatuję bliżej i w miarę, jak obniżam lot, rzeka znika, a roślinność ustępuje miejsca całkowicie białemu pejzażowi, jakby pokrytemu śniegiem. Jestem teraz na poziomie ziemi. Zdumiewające: widzę czołg oraz idących za nim ludzi. To żołnierze, Niemcy, jest wojna. Idą naprzód, chroniąc się za czołgiem. I co dziwniejsze, jestem jednym z nich. Jestem oficerem SS. Widzę twarz, która z krzykiem pochyła się nade mną, widzę zniszczoną wioskę. Czuję, że za chwilę umrę, ranny w szyję odłamkiem pocisku, który uszkodził tętnicę. Umieram.

Jestem osłupiały i oszołomiony intensywnością tego przeżycia.

Wciąż leżę z zamkniętymi oczami, całkowicie przytomny i świadomy, na swojej pryczy w Peru, a jednocześnie mój duch jest przerzucony w inny czas, w inne miejsce. Nagle odkrywam, że wiem, jak się nazywa ten mężczyzna. Jego imię, Alexander, wyłania się z nicości i narzuca niczym oczywistość. Nie widzę wyraźnie jego twarzy, jedynie tyle, że jest jasnym szatynem, prawie blondynem, z włosami dość krótko przyciętymi przy karku i skroniach, a dłuższymi na czubku głowy. Widzę, jak posuwa się wśród zniszczeń i trupów. Wszystko jest białe, jakby pokryte gipsowym pyłem lub śniegiem. Sylwetki zaś są czarne. Zasycha mi w gardle. Alexander ma na sobie długi, ciemny płaszcz. Mężczyzna jest wysoki i chudy, ale proporcjonalnie

zbudowany, z długimi i szczupłymi mięśniami. Scena jego śmierci się powtarza.

Skąd to uczucie, że chodzi o *mnie*?

To wprost niewiarygodne, zbyt silne, to niemożliwe... Proszę o jakiś element, który mógłbym sprawdzić później, i widzę coś, co wydaje się dowodem osobistym, zapisanym pismem gotyckim. Dostrzegam „Herman” w miejscu przewidzianym na nazwisko. Nazywa się Herman, Alexander Herman. Podobnie jak w przypadku imienia *dociera* do mnie *oczywistość* jego stopnia wojskowego: „Obersturmführer” wyskakuje w moim umyśle, umyśle kogoś, kto nie mówi ani słowa po niemiecku. Jestem bombardowany kolejnymi wizjami. Jak gdyby sceny z życia przewijały się z impetem przed moimi zamkniętymi oczami. Sceny z jego życia w cywilu. Widzę jakąś dziewczynkę, blondyneczkę, radosną i uśmiechniętą, w wieku dwóch, trzech lat. Jest z nią. Czy to jego córka? A potem znowu śmierć, wrzeszczące twarze. I wtem widzę go na brzegu jeziora, w sielskim pejzażu. Jest lato. Alexander ma nagi tors. Koło niego leży na brzuchu inny mężczyzna. Jest starszy od niego, widzę dobrze jego twarz. Czuję silną więź między nimi. Czy są kochankami? Wewnątrz lewego przedramienia Alexandra dostrzegam tatuaż z cyfrą „25”. I znowu zniszczone miasto lub miasteczko, odnoszę wrażenie, że chodzi o miejscowość zwaną Bagneux lub Bayeux, nie... Ani jedno, ani drugie... Ale coś zbliżonego. A teraz znów widzę dziewczynkę w tej sielskiej scenie, w towarzystwie Alexandra i tego drugiego mężczyzny. Blond włosy małej obcięte są równo do linii brody. Widzę następnie Alexandra w Paryżu, jakby spacerował w V dzielnicy, w górze rue Gay-Lussac, w miejscu, gdzie przechodzi ona w rue Claude Bernard. Wchodzi potem do pobliskiego Ogrodu Luksemburskiego... Odwraca się

i patrzy mi w oczy z pewną figlarnością, jakby się bawił moim zdumieniem. Mogę wówczas przyjrzeć się dokładnie jego twarzy. Później znów widzę, jak upada. Krew, pulsując, wypływa z jego szyi i plami kołnierz, ziemię. Alexander chwyta się za gardło. Życie z niego ucieka, wzrok gaśnie. Na Alexandra opada biały pył. Ziemia wokół, rozorywana eksplozjami, wyrzuca fontanny śniegu i ognia, wściekłości i zimna. Jest martwy. Jest mną. Jego ciało jest moim.

Gdy po upływie pół godziny ta wizja się kończy, jestem zupełnie ośluszony. To doświadczenie było tak bardzo zaskakujące, niezrozumiałe i tak potężne. Czyżbym sobie to tylko wyobraził? Ale dlaczego? Kim jest ten człowiek? Co się tak naprawdę przed chwilą wydarzyło?

Po południu i przez kolejne dni nie udaje mi się wymazać obrazów tego Niemca. Przybył tu z mrocznej otchłani, wszedł do mojej rzeczywistości i w niej pozostał, jakby *żył we mnie*. Wracam pamięcią do tego ponurego krajobrazu przemocy i śmierci, do spojrzenia Alexandra... Ale nawet przez moment nie przypuszczam wstrząsu, jaki nastąpi po moim powrocie do Francji.

Gdy odkryję, że ten człowiek istniał naprawdę.

## Potwierdzenie

W kolejnych dniach, pomimo frapującego charakteru tamtego doświadczenia, dochodzę do wniosku, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Dlatego też jeszcze przed końcem pobytu w puszczy amazońskiej nabieram wobec niego pewnego dystansu. Twarz mężczyzny z mojej wizji nadal zajmuje moje myśli, ale niesamowitość tego zdarzenia ustępuje powoli miejsca psychologicznej interpretacji, choć jego wymowa pozostaje wciąż tajemnicza.

Nie mogę po prostu uwierzyć, że ten człowiek mógłby rzeczywiście istnieć. To byłoby niebywałe, zbyt niepokojące. Nie, źródło tych obrazów musi tkwić w moim umyśle. To z pewnością moja wyobraźnia ułożyła cały ten scenariusz. Gdybym miał wymyślić na poczekaniu nazwisko, które brzmi z niemiecka, najpewniej powiedziałbym Herman lub ewentualnie Helmut. Co do imienia Alexander, napisałem wspólnie z Michałem, księciem Grecji i Danii, książkę o Aleksandrze Wielkim, a postać tego Macedończyka fascynuje mnie od czasu pierwszych podróży do Azji Środkowej. Co do stopnia Obersturmführera, musiałem je usłyszeć w jakimś filmie albo znaleźć w jakiejś książce, jak na przykład *Łaskawe*,

monumentalnej powieści Jonathana Littella, która zdobyła w 2006 roku Nagrodę Goncourtów, a która jest mrozącą krew w żyłach historią oficera SS. Ta książka bardzo mnie poruszyła. A co z resztą? Nie wiem... Tak więc, nawet jeśli to *spotkanie* było niesamowite, nie widzę powodu, dla którego należałoby je uznać za coś innego niż tylko dość oryginalny wynik pewnych nieświadomych procesów. Niemniej obiecuję sobie, że jak wrócę do Francji i będę miał dostęp do internetu, sprawdzę to w Google. Tak dla świętego spokoju.

W dniu mojego wyjazdu strugi ulewnego deszczu rozdierają niebo, znacząc początek opóźnionej pory deszczowej. Rzadko widywałem coś podobnego: dosłownie ściana wody zwala się na las. Ścieżka staje się strumieniem, moje buty są kompletnie mokre i pomimo założenia od razu przeciwdeszczowego poncho jestem po przejściu na piechotę drogi do wioski przemoczony do suchej nitki. Tam czeka na mnie samochód. Ściśnięty wśród tubylców w ledwo zipiącej taksówce z zaparowanymi szybami, mam wrażenie, że podróżuję w zamkniętej, trzęsącej się klatce. W końcu docieram do centrum Tarapoto. W mieście ulewa się uspokaja i mogę się przebrać, zanim dotrę na lotnisko.

Zawsze bardzo się cieszę, gdy wyruszam w podróż, i tak samo się cieszę, gdy przychodzi moment powrotu do domu. Bo w nim odnajdę osoby, które kocham, ja – samotnik niemogący żyć bez czułości swoich bliskich.

Ten paradoks to moje życie.

Wyrwawszy się ze świata na kilka tygodni, wracam z przecuciem, że szukanie równowagi w samotności, z dala od zamętu życia społecznego, stanowi tylko część rozwiązania. Prawdziwy spokój wewnętrzny pojawi się wówczas,



gdy zanurzony w codzienności, nauczę się nie podlegać jej wstrząsom. Chciałem uwolnić się, uciec, ale teraz, skonfrontowany z obecną we mnie złością, zdaję sobie sprawę, że nie uda mi się jej całkowicie uleczyć, odcinając się zupełnie od społeczeństwa, nawet jeśli o tym marzę. To raczej stawiając czoła temu, co wywołuje we mnie wzburzenie, a nie chroniąc się przed tym, uda mi się w końcu zrozumieć przyczynę i ją uzdrowić.

Odosobnienie otwarło we mnie pewne drzwi, co nie znaczy, że problemy znikły jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. Podczas tych tygodni przerwy otworzyłem się na niewidzialne, zyskałem więcej energii i pozwoliłem rozwinąć się intuicji. Trzeba jednak kontynuować tę pracę tutaj, w normalnym życiu, pośród codziennych wyzwań.

Teraz muszę pilnować, żeby nie zasnęło to, co zostało obudzone. Tylko jakie znaczenie w tym kontekście może mieć historia z Niemcem?

Nazajutrz po powrocie wpisuję z ciekawości jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej, dodając mu te dwie potworne litery: SS. Próbuję „Herman” z jednym „r”, potem z dwoma, następnie z jednym lub dwoma „n”. Kontynuuję poszukiwania, wpisując „Alexander” lub „Alexandre”. W ciągu zaledwie kilku minut znajduję dwa nazwiska „Alexander Herrmann” w czymś, co wygląda na rejestry oficerów SS sporządzone po polsku i dostępne online. Minuty stają się godzinami, ale nie udaje mi się uzyskać nic więcej oprócz potwierdzenia dwóch pierwszych wyników: było dwóch oficerów SS, którzy nazywali się Alexander Herrmann.

Ale tylko jeden z nich miał stopień Obersturmführera.

I ta chwila jest niezwykła.

Czuję się jak ktoś, kto próbuje utrzymać równowagę na wąskiej belce wiszącej nad mroczną otchłanią.

Nie wiem, czy się tego spodziewałem. Jestem oczywiście oszołomiony, ale szczerze mówiąc, nie potrafię się przemóc, żeby nie widzieć w tym tylko zwykłego zbiegu okoliczności. W głębi duszy nawet nie ośmielałem się dopuścić innych hipotez. No bo, obiektywnie rzecz biorąc, jak mógłbym? Tak, ta zbieżność jest niesłychana, ale czy można stąd wyciągnąć jakiś wniosek? Racjonalny – żaden. To niewiadoma, osobliwa zagadka. Może to być dość dziwny przypadek lub też zjawisko znacznie bardziej niepokojące. Tak naprawdę nie potrafię pójść dalej. Od kiedy jestem dziennikarzem, gdy staję w obliczu czegoś niezwykłego, spontanicznie staram się znaleźć racjonalne wytłumaczenie. W tej historii musi chodzić o coś dziwnego, z pogranicza przypadku i synchroniczności. Czuję, że coś się wydarzyło, ale wyprowadzanie z tego jakichś szalonych scenariuszy nie leży w mojej naturze.

W tej historii wojna i przemoc stanowią elementy centralne, co w odniesieniu do mojego życia ma znaczenie: jeszcze jako młokos zdecydowałem, że zostanę reporterem wojennym, wrażliwy na przemoc tego świata i jednocześnie nią zafascynowany.

I podobnie jak szczególnie sen, który ma odegrać rozstrzygającą rolę w pracy psychoterapeutycznej, coś mi mówi, że klucz do tej wizji znajduje się prawdopodobnie w meandrach mojej psychiki. Klucz, o ile w ogóle istnieje, będzie mógł się objawić raczej podczas psychoterapii niż w wyszukiwarce Google.

To prawda, że nawet jeśli jestem trochę zaszokowany tym odkryciem, to intuicja prowadzi mnie bardziej

w kierunku psychologii niż gdzie indziej. Znalezienie na listach tysięcy oficerów nazwiska identycznego z tym z mojej wizji wydaje mi się – używając terminu psychoanalitycznego – *znaczącą koincydencją*.

A więc ten Obersturmführer Alexander Herrmann istniał naprawdę.

## Niespodziewana emocja

Po upływie kilku godzin mam wrażenie, że wyczerpałem już wszystkie sposoby wyszukiwania internetowego i nie wiem, jak zdobyć więcej elementów tej układanki, przy założeniu, że takowe istnieją. Nie mówię ani słowa po niemiecku, nie jestem historykiem, doprawdy nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić. Czuję, że nie jestem w stanie rzucić więcej światła na to doświadczenie.

Tak, prawdopodobnie można to wytłumaczyć moim zafascynowaniem wojną, a zwłaszcza drugą wojną światową. To fakt: ten tragiczny okres naszej najnowszej historii stał się moją obsesją. Teraz jednak daję sobie spokój i wyłączam komputer. Wkrótce wciąga mnie paryskie życie i przyziemna codzienność, a peruwiańskie doświadczenie dołącza do kohorty „osobliwości”, które mi się w życiu przytrafiły. Na tym etapie egzystencji chcę się przede wszystkim skupić na skutecznym kontynuowaniu pracy rozpoczętej w czasie odosobnienia. To mój priorytet, coś, co wydaje mi się niezbędne i pożyteczne. Na pewno nie jest nim badanie pseudotropu ze snu na jawie, dwuznacznego i urojonego.

Postanawiam dać sobie pomoc. Zawsze myślałem, że jestem w stanie poradzić sobie sam z problemami

egzystencjalnymi. To z pewnością męska przypadłość – lecz jakże mylne podejście! Po śmierci brata potrzebne były łagodne nalegania żony, abym poddał się kilku sesjom psychoterapeutycznej pracy z ciałem i wyleczył w ten sposób ranę psychiczną powstałą na skutek jego wypadku, a której istnienie negowałem. Oczywiście, nasze wewnętrzne zasoby mają bezdyskusyjną moc samouzdrawiania, ale czasami pomoc osoby z zewnątrz okazuje się kluczowa, aby je uaktywnić. Zrozumiałem to, obserwując na samym sobie i na bliskich, że nawet kiedy ma się świadomość koniecznych do podjęcia wysiłków, można nie być w stanie ich wdroyć, bo utrudniają to pewne emocjonalne, nieświadome blokady. I wówczas czasem zwykła rozmowa, zabieg, krótka terapia, spojrzenie drugiego człowieka mogą zburzyć niewidzialny mur, który w trudny do wytłumaczenia sposób odcinał nas od uzdrowienia. Lecz w tym celu trzeba poprosić o pomoc i z pokorą ją przyjąć. To właśnie Natacha pozwoliła mi pojąć w pełni tę prawdę.

Kilka tygodni po powrocie mam spotkanie z Marie-Pierre Dillenseger. Marie-Pierre jest mistrzem feng shui, chińskiej dyscypliny polegającej na dekodowaniu wpływów energii czasowo-przestrzennej. Jej podejście, oparte na astrologii chińskiej, uwzględnia analizę miejsca do życia – a nie „wystroju wnętrza”, z czym zbyt często jeszcze utożsamia się feng shui na Zachodzie – z jednoczesną analizą potencjału danej osoby oraz momentu, w który wpisują się jej dążenia motywujące przyjscie po poradę. Natacha poznała Marie-Pierre podczas kręcenia drugiego sezonu dokumentalnej serii *Enquêtes extraordinaires* dla kanału telewizji francuskiej M6, który poruszał między innymi temat feng shui. Ponieważ znam wnikliwość jej analiz

i mam świadomość bogactwa astrologii (moja mama szkoliła się w zakresie astrologii transpersonalnej, gdy byliśmy dziećmi, ja i bracia), korzystam z porad Marie-Pierre w kluczowych momentach swojego życia. To zresztą dzięki jej radom wyjechałem na odosobnienie do Peru. Wciąż mam w pamięci jej słowa: „Nie startujesz od zera. Pamiętaj, że nie jesteś na poziomie zerowym w procesie uczenia się, zgromadziłeś już w sobie pewną siłę, i to nie tylko w tym życiu... Masz wsparcie brata i ojca. Dysponujesz ogromną przewagą, jeśli chodzi o otwarcie się na świat energii. Więc nie dopatruj się w tym planowanym odosobnieniu doświadczenia wielkiej bezbronności. Wprost przeciwnie, ono skonfrontuje cię z twoją siłą. Nie będzie chodziło o twój strach, lecz o twoją siłę. To jest właśnie twoja lekcja. Nie możesz jej przekładać w nieskończoność. Byłeś niezmiernie dręczony w przeszłości, ale prawdziwe niebezpieczeństwa są już za tobą. Masz ochronę, cholernie dobre towarzystwo, nie jesteś sam”.

„Odosobnienie skonfrontuje cię z twoją siłą”.

Marie-Pierre spędza większość czasu w Stanach Zjednoczonych, ale tym razem przyjmuje mnie w swoim mieszkanku, które wspólnie z mężem kupili w Paryżu. Spotkanie to jest dla mnie bardzo wartościowe, pozwala bowiem moim intuicyjnym odczuciom nadać spójność za pomocą koncepcji cykliczności sił i energii. Rozmawiamy o nauce, jaką w moim przekonaniu wyciągnąłem z pobytu w Peru. Pod koniec mimochodem zaczynam opowiadać o doświadczeniu z Alexandrem Herrmannem.

– Muszę ci powiedzieć o dziwnej historii, która mi się przydarzyła pod koniec odosobnienia. Pewnego dnia, gdy

wykonywałem codzienną serię ćwiczeń fizycznych, poczułem potrzebę położenia się i oddania czemuś w rodzaju medytacji czy też śnieniu na jawie, sam już nie wiem... Na początku miałem zamknięte oczy i wyobrażałem sobie, że jestem ptakiem, orłem wznoszącym się nad doliną, w której mieszkałem. A potem zrobiło się dziwnie.

Następnie relacjonuję swoje „spotkanie” z Alexandrem Herrmannem, nie pomijając żadnego szczegółu. Marie-Pierre patrzy na mnie milcząco, a kiedy dochodzę do sceny śmierci tego człowieka, rannego w szyję, widzę, że moja rozmówczyni drży.

– Mam gęsią skórkę... Widziałeś, jak umiera? – pyta mnie.

– Tak... Scena śmierci była bardzo wyraźna i powtarzała się wielokrotnie.

Opowiadam dalej. Mówię o dziewczynce i drugim mężczyźnie, o przelotnie dostrzeżonych miejscach: o zniszczonej wiosce, w pobliżu której Alexander ginie, o paryskich ulicach, po których spaceruje. I podczas gdy snuję swoją opowieść, uderza mnie wspomnienie energii, którą wówczas poczułem. Rzeczywiście, kiedy te obrazy przewijały się pod moimi zamkniętymi powiekami, dosłownie *fizycznie* przepływały przez mnie fale energii. To był płomień, poryw czy wręcz uczucie żądz, zupełnie jakby gwałtowność i niesamowitość tego wstrząsu energetycznego wyrzuciły do góry nogami wszelkie moje wewnętrzne *regulacje*. Szukając słów, próbuję to opisać Marie-Pierre.

– Podczas tamtej wizji czułem, jak przez moje ciało przechodzi potężna energia, to był... istny szal, tak, to właściwe słowo: szal. To mną dosłownie wstrząsnęło. Ta energia poruszyła również wiele emocji. A po powrocie

znalazłem w internecie dwóch Alexandrów Herrmannów, z których jeden miał stopień Obersturmführera. No i nie wiem za bardzo, co to wszystko ma znaczyć. Ta wizja miała tak wielką siłę! Głównie to zrobiło na mnie wrażenie. Co o tym myśleć?

– Nasuwa mi się tu w sposób oczywisty, że chodzi o „materiał”, o siły niosące przesłanie – mówi Marie-Pierre z pewnością w głosie. – Te wyłaniające się z cienia siły są przyjazne. Jeśli tu jest coś do zrozumienia, to jest to właśnie to...

– Oficer SS przyjacielem!?

– Tak... On nie żyje, ale być może miał okazję zdać sobie sprawę z tego, co zrobił? Nie czyni cię to esesmanem ani nikim o takiej energii. Ale czyż nie ten, kto był blisko potworności, może potem tym skutecznej do niej nie dopuszczać? W każdym razie...

To zdanie działa na mnie jak lewy sierpowy. Jestem dosłownie ogłuszony. Uczucie okazuje się tak silne, tak niespodziewane, że jestem zupełnie zdezorientowany. Z opuszczoną głową i ściśniętym gardłem podnoszę rękę do oczu, starając się powstrzymać nagłą, niepohamowaną potrzebę krzyku i płaczu. „Czyż nie ten, kto był blisko potworności, może potem tym skutecznej do niej nie dopuszczać?” Marie-Pierre jest jeszcze nieświadoma, jak silny wpływ ma na mnie to pozornie błahe zdanie.

– ...to są przyjazne siły – kończy.

Nie mogę wykrztusić słowa, rozsadzają mnie emocje. Pod wpływem osłupienia i poruszenia przestaję myśleć logicznie, tracę jasność umysłu. Nie przychodzi mi do głowy żadne sensowne pytanie. Jestem w szoku. A jednak to, co odzwierciedlają jej słowa, jest *śluszne*. Czyż moja reakcja nie jest najlepszym dowodem? O co



tu chodzi? Co czuję? Skąd ten wewnętrzny zamęt? Co się ze mną dzieje? Chcę zrozumieć, poczuć, wiedzieć, więc uczepiam się tego zawrotu głowy, jakby zawierał wszystkie odpowiedzi. Pragnę zapaść się w tę nikłą szczelinę, która rozdziera tak spokojną rzeczywistość skąpanego w słońcu mieszkania. A jednocześnie pragnę zachować kontrolę, nie chcę wszystkiego tracić, boję się. Biorę się w garść, odzyskuję panowanie nad sobą, ale wówczas mam wrażenie, że kawałek prawdy, który mi został na mgnienie oka objawiony, zaciera się w dali. Połączenie wygasło jak sen wchłonięty przez noc. Nie wiem, dlaczego tak zareagowałem. Spoglądam na Marie-Pierre, starając się doprowadzić do ładu.

– Wybacz, ale to, co powiedziałaś, mocno mną wstrząsnęło... Wypłynęła jakaś emocja...

– Strach?

– Nie, nie. Żałość... Chęć wybuchnięcia płaczem.

– Żałość z powodu tego człowieka?

– Nie wiem – wyznaję szczerze.

I to prawda, że nie wiem, co się stało. Uczucie tak potężne, a jednocześnie tak subtelne i ulotne – echo niewidzialnego świata – rozpląnęło się w gęstej rzeczywistości.

– Widzisz – ciągnie Marie-Pierre – to, co czujesz w tej chwili, to życie. Są tu obecne siły zasadniczo przyjazne. Pozwól im przyjść... Zrób miejsce tym energiom. Jaką historię ma ci do opowiedzenia ten człowiek? I jaki jest jego związek z tobą...? Popłacz sobie, jeśli chcesz – mówi, widząc, że jestem jeszcze w szoku.

– Nie, dzięki, już mi lepiej...

Czy faktycznie jest mi lepiej? Wciąż nie jestem w stanie myśleć. Nie mam już ochoty kontynuować tej rozmowy. Ani przez chwilę nie reaguję na to, co zostało mi powiedziane.

Zatkało mnie. Marie-Pierre kontynuuje, łącząc ostatnie wydarzenie z tematem naszej poprzedniej rozmowy, która dotyczyła mojego życia ogólnie.

– Płacz, jeśli czujesz taką potrzebę. Ta historia ma pewien związek ze stratą. Ze stratą drugiej osoby. Jest to powiązane z energią, którą nosisz w sobie. Nie zakopuj jej w otchłaniach swojej pamięci. Ona jest wyczuwalna... Musisz uruchomić w sobie „tryb odbioru”, żeby lepiej poczuć i zrozumieć te wspomnienia. Zwróć się o pomoc do twojej armii cienia...

Co takiego Marie-Pierre rozumie pod pojęciem „armia cienia”? Zbyt skołowany, nie mam na tyle przytomnego umysłu, żeby ją o to zapytać. Czy chodzi jej o „cień” w sensie jungowskim? O tę część ludzkiej istoty, która – ukryta i nieświadoma – może się pojawić na przykład we snach? Wszystko mi się miesza w głowie. Postanawiam wrócić do siebie na piechotę, chociaż mieszkam dość daleko. Oficer SS przyjaznym cieniem? *Bo trzeba najpierw poznać najgorsze, aby wiedzieć, czego się już nie chce?* Nie potrafię tego pojąć. W jaki sposób współuczestnik największej potworności, jakiej zaznała ludzkość, mógłby być sojusznikiem? Chyba źle zrozumiałem. Musiałem się przestyszeć.

## Zrozumieć potworność

Niemcy nigdy mnie nie pociągały, nie miałem ochoty tam jechać ani tym bardziej uczyć się języka. Gdy byłem nastolatkiem, czułem nawet pewną antypatię do tego kraju, choć właściwie bez racjonalnego powodu. W liceum uczyłem się rosyjskiego jako pierwszego języka obcego, a potem angielskiego. Nie muszę chyba dodawać, że nazizm jest dla mnie rzeczą najbardziej odrażającą. I nawet jeśli odczuwałem niejasny pociąg do okresu drugiej wojny światowej, to raczej ze względu na niewysłowione współczucie dla ofiar Holocaustu. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Jak można było zadać tak potworne cierpienie milionom mężczyzn, kobiet i dzieci? To obłąkańcze. Tak dalekie – a jednocześnie tak bliskie: mój ojciec miał siedemnaście lat, gdy wojna się skończyła.

Gdy wciąż ogłuszony idę ulicami XIV dzielnicy, pełno wspomnień kotłuje się w mojej głowie i wyłania w formie obrazów. Sceny przemocy, których byłem świadkiem w Afganistanie i gdzie indziej, absurdalna śmierć, okaleczone ciała, martwe oczy. Tysiące myśli przenoszą mnie lata wstecz, kiedy ledwie u progu dorosłości miałem tylko jedno w głowie: zostać reporterem wojennym. Co było powodem tak silnej ambicji? Dlaczego chciałem tak

koniecznie „zobaczyć” wojnę, zniszczenie? Odpowiedź jest jasna, zawsze byłem jej świadomy: chciałem zrozumieć Zło.

Oto przyczyna, dla której zostałem dziennikarzem.

Właściwie to jedyna przyczyna: pragnąłem zrozumieć.

Zrozumieć, jak można zabić. Zrozumieć tego, który zabija, który staje się oprawcą. Jak można być w stanie strzelić do drugiego człowieka? Zwłaszcza kiedy ten jest nieuzbrojony. A gdy to jest dziecko? Jak można żyć dalej po tym, jak doprowadziło się świadomie dziecko do śmierci? Albo całą rodzinę? Cywilów, którzy nic nie zrobili, niczego nie chcieli? Jakim człowiekiem trzeba być, aby dokonać takich czynów? Jak z tym żyć dalej? Kim są ludzie, którzy dokonali Holocaustu na milionach?

A przez pryzmat owej chęci ujrzenia czystego Zła SS jawi się jako zbrojne ramię najbardziej zbrodniczego systemu stworzonego przez ludzkość. Zagadkowe istoty, a przecież tak *bliskie* w czasie i przestrzeni. Europejczycy sprzed niecałych osiemdziesięciu lat.

Zataczam się pod słońcem Paryża. Jak daleko sięgam pamięcią, tkwi we mnie, niczym jątrząca się rana, wciąż otwarte pytanie: jak to się dzieje, że człowiek czasami oddala się tak bardzo od swego człowieczeństwa? Od trzydziestu lat poszukuję obsesyjnie odpowiedzi na to pytanie, lecz nadal mi się ona wymyka. Próbowałem ją znaleźć w pełnych życzliwości oczach Samuela Pisara, jednego z najmłodszych ocalałych z Holocaustu, wywiezionego do Auschwitz w wieku trzynastu lat. Zgodził się spotkać ze mną, żeby mi opowiedzieć o swoim życiu. Nasze rozmowy ciągnęły się godzinami. Wielokrotnie wracałem do jego wyłożonego boazerią gabinetu, bo chciał skorygować jakieś słowo, zmodyfikować frazę. Przygotowując się

do rozmowy z nim, podkreśliłem jedno zdanie w książce *Z krwi i nadziei* jego autorstwa, poruszony zgrozą, jaką ono odsłaniało: „O kilka metrów od wagonów toczyło się normalne życie. A za ich drzwiami, rozpaczliwie zamkniętymi, umierały tysiące ściśniętych ludzkich istot”<sup>1</sup>.

Jestem dobrym i tolerancyjnym człowiekiem. Człowiekiem wychowanym przez rodziców, którzy wpoili swym dzieciom szlachetne wartości moralne. Równość wszystkich kobiet i mężczyzn. Nie znoszę wszelkich ekstremizmów i jestem głęboko przekonany, że wyrzekanie się przemocy, tak w sferze prywatnej, jak i na poziomie narodów, jest jedyną trwałą drogą rozwiązywania konfliktów. Koncepcja rasy jest kompletnym absurdem. Różnice rasowe są czystym nonsensem. I czuję bezmierne współczucie, każdą komórką swojego ciała, dla wszystkich ofiar krzywd i niesprawiedliwości, które zatruwają nasz świat, a w pierwszym rzędzie dla ofiar nazistowskich obozów zagłady.

Lecz noszę w sobie również tę obsesyjną chęć zrozumienia oprawców.

To ona właśnie nadała kierunek mojemu życiu, gdy zdecydowałem się zostać reporterem wojennym. Czterdzieści parę lat od zakończenia drugiej wojny światowej kwestia Zła, które pokryło Europę, a potem świat, zaczęła się pojawiać ponownie w wielu innych miejscach. W latach osiemdziesiątych symbolem okrucieństwa, do jakiego zdolny jest człowiek, stał się reżim Czerwonych Khmerów i ludobójstwo dokonane przez nich w latach 1975-1979 w Kambodży. Porzuciwszy bardzo wcześnie szkolne ławy, opracowywałem szalone plany, aby dostać się do tego południowo-azjatyckiego kraju.

Naiwnie zamierzałem wyruszyć na poszukiwanie Pol Pota, który po upadku reżimu ukrywał się w dżungli, żeby patrząc mu prosto w oczy, zadać to jedno, jedyne pytanie: „Jak mogłeś to zrobić?”. Lecz wówczas liczyłem siedemnaście lat i nie miałem żadnego doświadczenia. Tak więc gdy w wieku dziewiętnastu lat podjąłem tę życiową decyzję, południowo-wschodnia Azja medialnie „wyszła z mody” i ostatecznie znalazłem się u boku afgańskich partyzantów. Był rok 1988, a ich kraj, choć nieposkromiony, znajdował się nadal pod okupacją sowiecką. Setki tysięcy zabitych, miliony uchodźców, ludzki dramat, którego konsekwencje dotyczą nas jeszcze dzisiaj. I to ciągle moje pragnienie zobaczenia wojny z bliska.

Zobaczyłem ją.

Wątpię jednak, że było to jedyne wytłumaczenie mojego wzruszenia, gdy Marie-Pierre powiedziała: „Czyż nie ten, kto był blisko potworności, może potem tym skutecznej do niej nie dopuszczać?”. Destabilizująca końcówka naszej rozmowy sprawia, że staję się ostrożny. Być może w pośpiechu, z jakim chciałyby przejść nad nią do porządku dziennego, jest pewien element wyparcia...? Nie jest to świadome, ale nie robię nic, aby to drażyć. No bo cóż więcej mogę zrobić?

„Alexander” nie może być moim priorytetem.

Ta wizja to zwykły incydent, przypadek, jakies *kuriozum*.

Co do reszty, to pragnienie pracy nad sobą pozostaje silne i w tym celu chcę spotkać się z inną osobą. Kiedy więc kilka tygodni później zjawiam się w gabinecie uzdrowicielki Agnès Stevenin, nie chodzi o grzebanie w historii jakiegoś

Niemca, ale o wsparcie procesu oczyszczania fizycznego, psychicznego i energetycznego, który rozpocząłem. Prze-  
czytałem wspaniałą książkę<sup>2</sup>, którą Agnès zamierza wydać  
i w której opowiada swoją historię. Poza tym czuję, że po  
prostu powinienem skorzystać z jej usług.